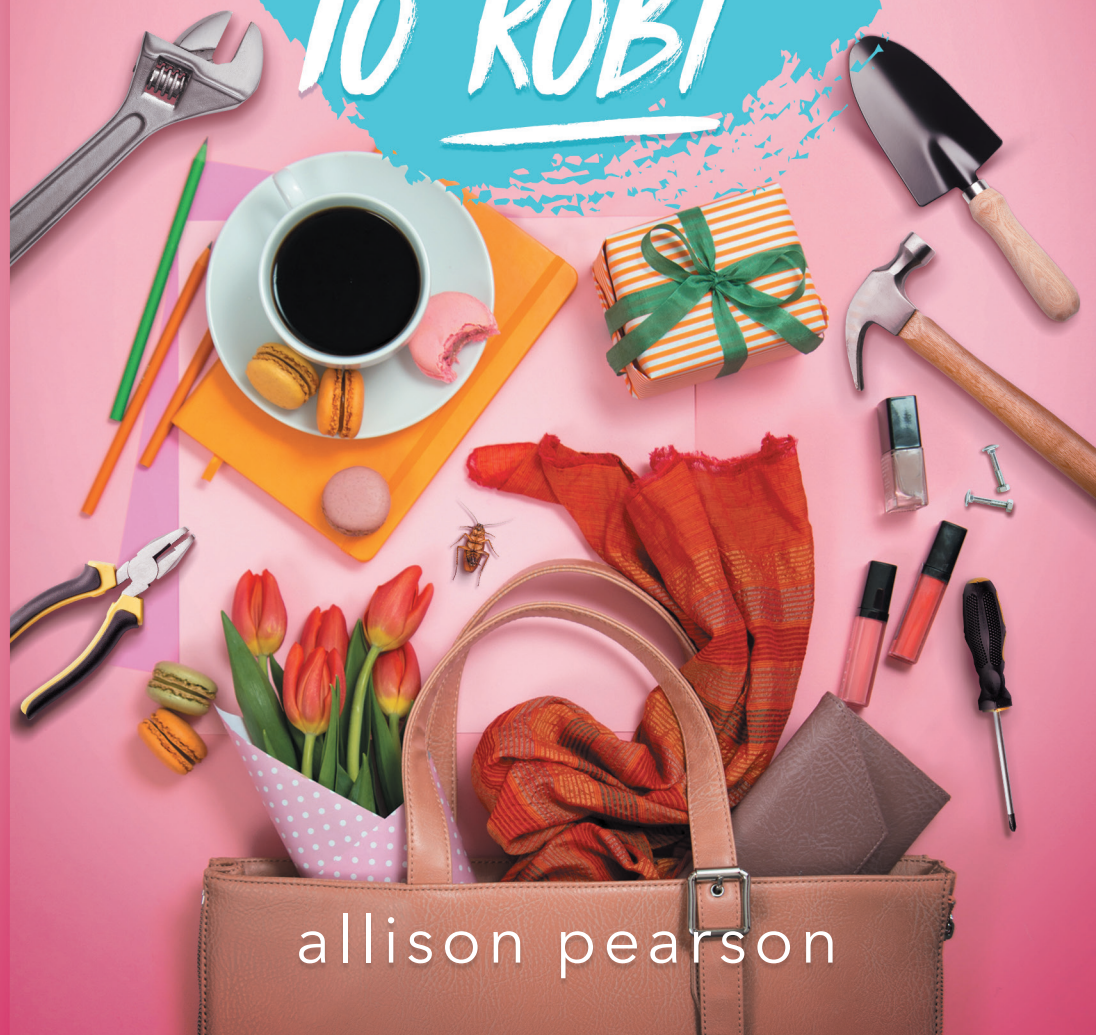


NIE WIEM, JAK ONA TO ROBI



allison pearson

1

DOM

1.27. Co ja tu robię? Czy ktoś byłby mi to łaskaw powiedzieć? Nie, nie w tej kuchni, co ja robię na tym świecie. Głucha noc, dzisiaj w przedszkolu jest koncert kolęd, a ja modeluję babeczki z leguminą. Chwileczkę, żebyśmy się dobrze zrozumieli – ja deformuję babeczki z leguminą, a to czynność wymagająca o wiele większego skupienia i finezji.

Wyrzucam do kubła na śmieci luksusowe opakowanie ze sklepu Sainsbury, wydłubuję babeczki z foliowych foremek, kładę kolejno na desce do krojenia i postukuję wałkiem w ich niewinne, umączone buźki. To nie takie proste, jak by się z pozoru mogło wydawać. Jeśli uderzyć za mocno, babeczka się rozkruszy, rozciapcia i wypłynie z niej całe nadzienie. Ale zdecydowanym uderzeniem z umiarkowaną siłą – taką, jaka wystarcza do rozgniecenia małego żuczka – można zapoczątkować proces swoistej erozji i nadać babeczce miły dla oka wygląd ciastka domowego wypieku. I to właśnie robię. Dom to oaza miłości i rodzinnego ciepła. W domu dobra matka piecze dla swoich dzieci.

A wszystko za sprawą listu, który dziesięć dni temu przyniosła z przedszkola Emili, listu przypiętego teraz magnesikiem do drzwiczek lodówki, listu z prośbą do rodziców, żeby w miarę możliwości wnieśli swój wkład w przygotowanie stosownych świątecznych przekąsek na gwiazdkowe przyjęcie, które tradycyjnie odbywa się po kolędach. List

jest wydrukowany jagodowym tuszem, a u dołu, obok podpisu panny Empson, widnieje skromnie uśmiechnięty bałwanek w garnku z uchami na głowie. Ale nie dajcie się zwieść pozornie lekkiemu tonowi próby ani rządkiw radosnych wykrzykników!!! O, nie. Listy z przedszkola pisane są szyfrem, szyfrem tak przebiegle wplecionym w tekst, że odcyfrować go potrafi jedynie centrala kontrwywiadu albo matka, której poczucie winy spędza sen z powiek.

Weźmy na przykład słowo „rodzice”. Pisząc „rodzice”, przedszkole tak naprawdę ma na myśli tylko i wyłącznie matki. (Czy ojciec dysponujący żoną czyta kiedykolwiek listy z przedszkola? Teoretycznie jest to chyba możliwe, ale jeśli nawet zdarzy mu się jakiś przeczytać, to ponieważ i, dajmy na to, zaproszenie na przedszkolne przyjęcie jest już o dobre dziesięć dni przeterminowane). A „w miarę możliwości”? W miarę możliwości w nauczycielskim slangu znaczy: „Pod groźbą kary śmierci i/lub nieprzyjęcia twojego dziecka do szkoły podstawowej, którą dla niego wybierzesz”. Co do „stosownych świątecznych przekąsek”, to zdecydowanie nie mogą to być gotowe dania zakupione przez leniwą lawirantkę w supermarkecie.

Skąd to wiem? Bo po dziś dzień pamiętam spojrzenia, jakie podczas obchodów Święta Plonów w siedemdziesiątym czwartym roku wymieniły między sobą moja matka z panią Friedą Davis, kiedy chłopczyk w wypłowiałej zielonej kurtce podszedł do ołtarza z dwiema puszkami konserwowych brzoskwiń w pudełku po butach. Te spojrzenia wryły mi się w pamięć. Mówiły: cóż to za żałosna flądra śmie dziękować Bogu za jego hojne dary blaszankami ze sklepiu na rogu, skoro naszemu Panu należy się co najmniej wyściełany celofanem kosz świeżutkich owoców. Albo wyplatany chleb. Chleb Friedy Davis, niesiony uroczystie przez cały kościół przez jej bliźniaczki, spleciony był ciaśniutko, jak warkocze hożej Niemki.

– Widzisz, Katharine – wyjaśniła mi później pani Davis, pociągając potężająco nosem nad herbatnikami – są matki, które potrafią zadać sobie trochę trudu, takie jak twoja mamusia albo ja. I są osoby,

którym... – kolejne przeciągłe pociągnięcie nosem – ...zwyczajnie się nie chce.

Wiedziałam, naturalnie, o jakie osoby jej chodzi. O Kobiety, Które Chodzą Na Skróty. Już w roku siedemdziesiątym czwartym zaczęto nazywać tak pogardliwie matki, które pracowały zawodowo. Kobiety, które do żakietów nosiły spodnie, a podobno nawet pozwalały oglądać swoim dzieciom telewizję, kiedy było jeszcze widno. Opinia wyrodných matek przylgnęła do tych osobniczek jak kurz do ich lambrakinów.

I tak, zanim jeszcze dorosłam na tyle, by zrozumieć, co to znaczy być kobietą, wiedziałam już, że kobiety dzielą się na dwa rodzaje: na wzorowe matki – pełne poświęcenia wytwórczynie szarlotek i strażniczki domowego ogniska – oraz na te drugie. Teraz, w wieku trzydziestu pięciu lat, nie mam najmniejszych wątpliwości, do którego rodzaju się zaliczam, i chyba dlatego właśnie dzisiaj, 13 grudnia nad ranem, siedzę w kuchni i tłukę wałkiem babeczki z leguminą, żeby upodobnić je z grubsza do czegoś, co matka własnoręcznie upiekła. Kiedyś kobiety miały czas na pieczenie babeczek z leguminą, za to musiały udawać orgazm. Teraz potrafimy dochodzić do orgazmu, za to musimy podrabiać babeczki z leguminą. I to ma być postęp.

– Cholera. Jasna cholera. Gdzie ta Paula podziała sitko?

– Kate, a co ty tu robisz? Przecież już prawie druga nad ranem.

W progu kuchni, mrużąc oczy przed światłem, stoi Richard. Po dziecinnemu rozespany i rozczochrany Rich w wygniecionej piżamie. Rich z niezmiernymi pokładami angielskiego racjonalizmu i działającej na nerwy dobroci. Ślamazarny Richard, jak nazywa go moja amerykańska koleżanka Candy, bo tempo prac w jego firmie architektonicznej spadło niemal do zera, zabranie się do czegokolwiek zajmuje mu co najmniej pół godziny, i powtarza mi wciąż, żebym zwolniła tempo.

– Zwolnij, Kate, jesteś jak ta... no, jak to się nazywa? To w wesołym miasteczku, co wiruje i przypiera ludzi do muru, że aż piszczą?

- Siła odśrodkowa.
- To wiem. Ale jak się nazywa to urządzenie?
- Nie mam pojęcia. Beczka Śmierci?
- O właśnie.

Nie rozumiem, o co mu chodzi. Nie jestem aż tak ograniczona, żeby nie zdawać sobie sprawy z istnienia form rozrywki atrakcyjniejszych od urabiania po nocy babeczek z leguminą. Zmęczenie nurka głębinowego, podróż na samo dno zmęczenia; szczerze mówiąc, to uczucie nie opuszcza mnie od przyjścia na świat Emili. Pięć lat w ołowianym pancerzu niewyspania. Ale jaką mam alternatywę? Pójść dzisiaj do przedszkola i beczelnie rzucić na stół ze świątecznymi przekąskami pudełko wyborowych babeczek ze sklepu Sainsbury? Wtedy do Mamusi, Której Nigdy Nie Ma i Mamusi, Która Krzyczy Emili mogłaby dodać Mamusię, Której Się Nie Chce. Za dwadzieścia lat, na wieść, że moją córkę aresztowano na terenie pałacu Buckingham w trakcie próby porwania króla, głos zabierze psycholog kryminalny i powie: „Znajomi uważają, że problemy psychiczne Emili Shattock datują się od czasu przedszkolnego koncertu kolęd, na którym zaniedbująca swoje obowiązki matka upokorzyła ją na oczach całego przedszkola”.

- Kate? Halo?
- Szukam sitka, Richardzie.
- Na co ci ono?
- Muszę posypać cukrem pudrem babeczki z leguminą.
- Dlaczego?
- Bo mają za bardzo jednolitą barwę i całe przedszkole pozna, że nie upiekłam ich sama.

Richard mruga powoli jak Stan Laurel postawiony w kolejnej nietypowej sytuacji.

- Nie pytam o cukier puder. Pytam, dlaczego siedzisz w kuchni, Katie, zwariowałaś? Ledwie trzy godziny temu wróciłaś ze Stanów.

Nikt od ciebie nie oczekuje przygotowywania czegokolwiek na ten koncert kolęd.

– Ja od siebie oczekuję. – Mnie samą zaskakuje gniew, z jakim to powiedziałam, i widzę, że Richard krzywi się. – Gdzie Paula upchnęła to przekłete sitko?

Rich jakby się nagle postarzał. Zmarszczka między jego brwiami – do tej pory wykrzyknik rozbawienia – nie wiedzieć kiedy pogłębiła się i rozszczepiła. Mój kochany, zabawny Richard, który kiedyś patrzył na mnie jak Dennis Quaid na Ellen Barkin w *Wielki luz*, a teraz, po trzynastu latach partnerskiego małżeństwa, patrzy na mnie jak królik doświadczalny na naukowca: świadomy, że takie eksperymenty może i muszą być prowadzone w imię rozwoju medycyny, ale mimo to błagający wzrokiem o wypuszczenie.

– Nie krzycz – wzdycha – pobudzisz je. – Pokazuje palcem na sufit. Tam, na górze śpią nasze dzieci. – Zresztą Paula nigdzie go nie schowała. Przestań ją o wszystko obwiniać, Kate. Sitko leży zawsze w szufladzie obok mikrofalówki.

– Nie, leży zawsze tutaj, w tym kredensie.

– Od siedemdziesiątego siódmego roku już nie. Kochanie, proszę cię, chodź do łóżka. Za pięć godzin musisz wstać.

Patrzę, jak Richard wchodzi po schodach, i najchętniej podążyłabym w jego ślady, ale nie mogę zostawić kuchni w tym stanie. Zwyčajnie nie mogę. Istne pobojuwisko. Wszędzie walają się klocki lego, a dwie okaleczone lalki Barbie, jedna bez nóg, druga bez głowy, urządziły sobie coś w rodzaju pikniku na kocu w kratę, na którym znać jeszcze plamy z trawy po naszej ostatniej wrześniowej wycieczce na Primrose Hill. Na podłodze, obok pojemnika na warzywa, leży garść rodzynek; jestem przekonana, że to te same, które widziałam w tym samym miejscu przed wyjazdem. Pod moją nieobecność zaszły jednak pewne zmiany: w wielkiej szklanej misie na sosnowym stoliku obok drzwi do ogrodu przybyło pół tuzina jabłek, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby wyrzucić zepsute owoce. Brzoskwinie na spodzie zgniły i puściły gęsty

bursztynowy śluz. Wrzucając je jedną po drugiej do kubła na śmieci, wzdrygam się za każdym razem z obrzydzenia. Po umyciu misy wycieram dokładnie każde jabłko z bursztynowego nacieku i wkładam je do niej z powrotem. Cała operacja trwa jakieś siedem minut. Następnie zabieram się do ścierania rozsypanego cukru pudru ze stalowego blatu i coś mi zaczyna cuchnąć. Wącham ściereczkę. Aż się lepi od brudu, wydzielą słodkomdłącą woń wody po zwiędłych kwiatach. Jak musiałaby zaśmiardnąć, żeby ktoś w tym domu raczył ją wreszcie wyrzucić?

Wciskam ściereczkę do przepełnionego kubła na śmieci i sięgam pod zlew po nową. Nowej nie ma. Oczywiście, że nie ma nowej, Kate, kto miał kupić nową, skoro ciebie nie było. Wygrzebuję starą ściereczkę z kubła na śmieci i płuczę ją w gorącej wodzie z dodatkiem kropli dettolu. Teraz pozostaje mi tylko przygotować skrzydła i aureolę dla Emily na rano.

Gaszę światło, ruszam w kierunku schodów i nagle zatrzymuję się jak wryta. Jeśli rano Paula zobaczy w kubie na śmieci opakowania po babeczkach, rozpowie wszystkim znajomym niańkom o moim wielkim babeczkowym szwindlu. O cholera. Wyjmuję z kubła opakowania, zawiąmam je we wczorajszą gazetę i wynoszę w wyciągniętych przed siebie rękach za drzwi. Patrzę w lewo, patrzę w prawo i upewniwszy się, że nikt mnie nie obserwuje, wpycham zawiniątko do wielkiego czarnego wora stojącego przed domem. Teraz, pozbywszy się wszystkich dowodów winy, mogę ze spokojnym sumieniem pomaszerować za mężem do łóżka.

Przez okienko na podeście schodów widzę sierp księżycy rozpartego w swoim bujanym fotelu nad spowitym w grudniowej mgle Londynem. Nawet księżyc raz na miesiąc rozprostowuje nogi. Księżyc to, rzecz jasna, mężczyzna. Gdyby był kobietą, nie przysiadłby nawet na chwilę. Prawda?

Szczotkuję bez pośpiechu zęby. Przy każdym trzonowym liczę do dwudziestu. Jeśli wystarczająco długo posiedzę w łazience, Richard za-

śnie i nie będzie się próbował do mnie dobierać. Jeśli uda mi się uniknąć spółkowania, to rano będę mogła sobie darować kąpiel. A jeśli daruję sobie kąpiel, będę miała czas na przeczytanie choćby części e-maili, których sporo musiało się pod moją nieobecność nabierać, może nawet zdążę kupić po drodze do pracy kilka prezentów. Do świąt Bożego Narodzenia jeszcze tylko dziesięć dni handlowych, a ja znajduję się dopiero w posiadaniu dokładnie dziewięciu podarków, czyli muszę ich jeszcze skombinować dwanaście, plus drobne upominki do pończoch dla dzieci. Tymczasem wciąż nie nadchodzi przesyłka z KwikToy, wysyłkowego sklepu z upominkami, reklamującego się jako realizujący zamówienia od ręki.

– Kate, kładziesz się wreszcie? – woła z sypialni Rich. Głos ma senny. Dobra nasza. – Muszę z tobą o czymś porozmawiać, Kate.

– Za chwileczkę – rzucam w jego stronę. – Zajrzę tylko, czy wszystko u nich w porządku.

Wspinam się po schodach na drugie piętro. Przykrywający schody chodnik jest tak wystrzępiony, że krawędź każdego stopnia przypomina zjeżoną szczecinę. Tylko patrzeć, jak ktoś tu wywinie orła. Docieram do szczytu zdyszana, przeklinając w duchu te wysokie, wąskie londyńskie domy. Nieruchomieję pod drzwiami pokoiów dzieci i wsłuchuję się w ich charakterystyczne oddechy – on pochrapuje jak prosiątko, ona wdycha przez sen jak księżniczka.

Kiedy nie mogę zasnąć, a często mi się to zdarza, lubię wślizgnąć się do pokoju Bena, siadam wtedy na niebieskim krzeselku i patrzę na niego. Mogę tak godzinami. Dzisiaj leży na brzuszku, z rozrzuconymi rączkami, piąstki zaciśnięte, policzek wtulony w szpetnego kangura, którego sobie upodobał; półka pełna najrozkoszniejszych pluszowych zwierzątek dostępnych na rynku zabawek, a on co? On na obiekt swojego uwielbienia wybrał zezowatego torbacza z przeceny. Ben nie potrafi nam jeszcze powiedzieć, że jest już zmęczony i mówi po prostu Ur. Nie zaśnie bez Ura, bo Ur to dla niego synonim snu.

Nie widziałam synka od czterech dni. Czterech dni i trzech nocy.

Najpierw była podróż do Sztokholmu na rozmowę z pewnym nerwowym klientem, potem z biura zadzwonił Rod Task i kazał mi lecieć prosto stamtąd do Nowego Jorku z misją ugłaskania starego klienta, który żył z tym, że zbyt wiele czasu poświęcam nowemu klientowi.

Benjamin nigdy nie ma mi za złe moich wyjazdów. Jest na to jeszcze za mały. Wita mnie zawsze z bezinteresowną radością, młócąc powietrze ramionkami jak wiatrak. Co innego jego siostra. Emily ma pięć lat i swoje już wie. Na powrót mamusi ma zawsze przygotowaną serię wyrafinowanych przytyków i kar.

– Paula już mi to czytała.

– Ale ja chcę, żeby tatuś mnie wykapał.

Śmiem twierdzić, że Królowa Matka cieplej witała Wallis Simpson niż Emily mnie, kiedy wracam z podróży służbowej. Znoszę to jednak dzielnie. Serce mi się ściska, ale znoszę. Chyba podświadomie uważam, że sobie na to zasłużyłam.

Zostawiam pochrapującego cicho Bena i popycham lekko drzwi drugiej sypialni. Moja córeczka śpi skąpana w żółtym świetle nocnej lampki, śpi tak, jak najbardziej lubi – zupełnie nago. (Ubrania, o ile nie jest to suknia panny młodej albo strój księżniczki, wciąż ją drażnią). Kiedy okrywam ją kołdrą, kopie protestacyjnie nóżkami jak laboratoryjna żabka. Od niemowlęstwa nie lubi spać pod przykryciem. Kiedyś kupiłam jej zapinany na zamek błyskawiczny becik, ale dopóty się w nim rzucała, wydymając przy tym policzki jak Bóg Wiatru z narożnika starych map, dopóki nie uznałam się za pokonaną i go nie wyrzuciłam. Nawet podczas snu, kiedy buzia mojej córeczki jest słodko zarumieniona, w oczy rzuca się wojowniczo wystawiona bródka. Ostatnio przyniosła z przedszkola uwagę w dzienniczku o treści: „Emily jest dziewczynką bardzo ambitną i powinna się nauczyć przegrywać z większą pokorą”.

– Przypomina ci to kogoś, Kate? – spytał Richard i wydał ten pisk nadeptniętego szczeniaczka, który ostatnio opanował.

Od roku próbuję wyjaśniać córeczce – wmawiam sobie, że jest już

wystarczająco mądra, by to zrozumieć – dlaczego mamusia musi chodzić do pracy. Bo mamusia i tatuś potrzebują pieniążków na opłacenie domu i wszystkich rzeczy, które ona lubi, takich jak lekcje baletu i wyjazdy na wakacje. Bo mama ma pracę, na której się zna, i to naprawdę ważne, żeby pracowali nie tylko mężczyźni, ale i kobiety. Za każdym razem taki wykład osiąga swoją kulminację – fanfary, chóry, powiewanie flagami – i zapewniam Emily, że zrozumie to wszystko, kiedy dorośnie i sama będzie chciała robić coś ciekawego.

Niestety, zasada równych szans obowiązująca od dawna w liberalnych zachodnich społeczeństwach, nie przystaje zupełnie do fundamentalistycznych poglądów pięciolatki. Boga nie ma, jest tylko Mamusia, a jej prorokiem jest Tatuś.

Rankiem, kiedy szykuję się do wyjścia, Emily zadaje w kółko to samo pytanie z taką natarczywością, że w końcu mam ochotę ją uderzyć, a potem, przez całą drogę do pracy, chce mi się płakać, że miałam ochotę ją uderzyć.

– Położysz mnie dzisiaj do łóżka? Mamusia położy mnie dzisiaj do łóżka? Położysz? Kto położy mnie dzisiaj do łóżka? Ty, mamusiu, ty?

Wiecie, na ile sposobów można mówić nie, nie używając słowa „nie”? Ja wiem.

Do zapamiętania

Anielskie skrzydła. Zamówić nowy chodnik na schody. Wyjąć z lodówki lasagne na sobotni lunch. Kupić papierowe ręczniki, pastę do szorowania, prezent i kartkę na urodzinowe przyjęcie Harry'ego. Ile lat ma Harry? Pięć? Sześć? Zdążyć na czas na napełnieniu szuflady prezentami, jak na wzorową matkę przystało. Kupić choinkę i stylowe lampki choinkowe reklamowane w „Telegraph” (Selfridges czy Habitat? Nie pamiętam. Cholera). Łapówka/prezent dla niani (bilet na Eurostar? Kopertówka? Jakiś ciuszek?). Emily chce dostać siusiąjącą lalkę (po moim trupie). Prezent dla Richarda (degustacja wina? Arsenal? Piżama?), książka dla teściów – Zaginione ogrody Gdzieś tam? Poprosić Richarda o odebranie prania z pralni. Co włożyć na przyjęcie

*w biurze? Ta czarna aksamitna już za ciasna. NATYCHMIAST przestać jeść.
Liliowe siatkowe pończochy. Na krem do depilacji nóg nie ma czasu, ogolić.
Zapisać się na masaż rozluźniający. Bóle w dole brzucha! Zapas pigułek!!!
Babka z lukrem. Żurawiny. Minikiełbaski. Znaczki na kartki pocztowe dru-
giej klasy x 40. Prezent dla nauczycielki E.? I żeby nie wiem co, odzwyczaić
Bena od smoczka przed świętami u teściów. Pogonić KwikToy, niesolidny wy-
syłkowy sklep z prezentami. Zrobić sobie badanie wymazu. Wino, gin. Vin
santo. Zadzwonić do mamy. Gdzie ja podziałam przepis na gęś Simona Hop-
kinsona? Farsz? Chomik???*

2

PRACA

6.37.

– Oj, pokaż, co przywiozłaś. Oj, pokaż, co przywiozłaś. Oj, pokaż, co przywiozłaś! – Jestem głaskana, szarpana, a kiedy to nie odnosi skutku, budzona przez Emily bożonarodzeniową kolędą. Stoi po mojej stronie łóżka i chce koniecznie wiedzieć, gdzie jest prezent. „Nie możesz kupować ich miłości” – mawia moja teściowa, która, jak nietrudno się domyślić, nigdy nie szastała w tym celu pieniędzmi.

Próbowałam raz wrócić z podróży służbowej z pustymi rękami, ale zламаłam się już w drodze z Heathrow i kazałam się zatrzymać taksówkarzowi przed sklepem z zabawkami. Emily ma już kolekcję lalek Barbie z całego świata, wszystkie w opłakanym stanie. Flamencko Barbie, AC Milan Barbie (w stroju piłkarskim i w piłkarskich korkach), Barbie Tajka – giętka figlarka, która potrafi zrobić mostek i skłon w przód, oraz egzemplarz, który Richard nazywa Klausem Barbie – dorodna über-blondyna o pustych błękitnych oczkach, w bryczesach i czarnych oficerkach.

– Mamusiu – mówi Emily, taksując najnowszy prezent okiem koneserki – ta wróżka Barbie potrafi machnąć czarodziejską różdżką i zrobić tak, że Dzieciątka Jezus nie przybiją do krzyża.

– W historii Dzieciątka Jezus nie występuje Barbie, Emily.

Emily obrzuca mnie spojrzeniem Hillary Clinton, tym pełnym szlachetnej pobłażliwości.

– Nie tego Dzieciątka Jezus – wzdycha. – Innego, głuptasie.

Jak widzicie, wracając z podróży od klienta do pięcioletniej dziewczynki można jednak coś kupić. Jeśli nie miłość czy choćby przebaczenie, to przynajmniej coś w rodzaju odroczenia. Na tych parę minut, gdy nad potrzebą wylewania pretensji bierze chwilowo górę nagląca potrzeba rozerwania paczki z prezentem. (Każda pracująca matka, która zarzeka się, że nie przekupuje swoich dzieci, może śmiało dopisać Kłamczyni do swojego CV). Emily dostaje prezent za każdy akt zdrady, jakiego w imię kariery zawodowej dopuszcza się jej matka, tak jak kiedyś moja mama dostawała zawsze nową bransoletkę od skruszonego po kolejnym skoku w bok ojca. Kiedy tato ostatecznie od nas odszedł – miałam wówczas trzynaście lat – mama miała tych złotych bransoletek tyle, że mogłaby udekorować sobie nimi rękę od nadgarstka po łokieć.

Leżę sobie i myślę, że nie jest jeszcze tak źle, że mogłoby być o wiele gorzej (przynajmniej mój mąż nie jest alkoholikiem i niepoprawnym cudzołożnikiem), kiedy do sypialni wdreptuje Ben. Nie wierzę własnym oczom.

– Boże, Richardzie, co się stało z jego włosami?

Rich wygląda spod kołdry i patrzy na swojego syna, który w styczniu kończy roczek, tak jakby widział go po raz pierwszy.

– Ach, Paula zaprowadziła go do tego zakładu przy garażu. Powiedziała, że wchodzi mu do oczu.

– Wygląda teraz jak z Hitlerjugend.

– Nie przesadzaj. Odrośną. Zresztą taka teraz moda.

– Co mi tam moda. To moje dziecko. I chcę, żeby tak wyglądał. Jak dziecko.

Zauważyłam, że ostatnio Richard stosuje standardową procedurę stawiania czoła moim wybuchom wściekłości. Kojarzy mi się ona ze zwieszeniem głowy i przyjęciem pokornej postawy zalecanej „w przy-

padku ataku nuklearnego”, ale tego ranka nie może się powstrzymać od buntowniczej uwagi:

- Chyba nie polecimy z reklamacją do fryzjera?
- Co to niby miało znaczyć?
- Tylko tyle, że powinnaś się nauczyć odpuszczać, Kate. – To mówiąc, jednym wprawnym ruchem zgarnia malca z podłogi, ociera gila dyndającego u małego noska, i schodzi na dół na śniadanie.

7.15. Przełączenie się z trybu „praca” na tryb „dom” jest tak raptowne, że mogłabym przysiąc, iż słyszę w mózgu protestacyjny zgrzyt małych zębatych kółeczek. Przestrojenie się z powrotem na dziecięcą długość fali musi trochę potrwać. Tryskająca dobrymi chęciami, zaczynam z entuzjazmem i emfazą:

- No, dzieci, co byście chciały dzisiaj na śniadanko?

Emily i Ben przyglądają się przez chwilę nieufnie tej przymilnej nieznanym, w końcu Ben nie wytrzymuje, staje na swoim wysokim krzeselku, wyciąga rączkę i szczypie mnie w ramię, tak jakby chciał się upewnić, czy to rzeczywiście ja. Cierpliwości starcza mi na pół godziny, potem puszczają nerwy.

- Jecie płatki owsiane i koniec! Nie, nie mamy muesli. Guzik mnie obchodzi, czym was karmił tatuś.

Z buź dzieci odczytuję wyraźną ulgę. To jednak mamusia. Wróciła.

Richard musi wyjść wcześniej. Jedzie dzisiaj z klientem na plac budowy. Czy mogę poczekać na Paulę? Mogę, byleby się nie spóźniła, bo punkt 7.45 wychodzę.

7.57. Zjawia się wreszcie, sypiąc jak z rękawa usprawiedliwieniami, ale jakoś nie zauważam u niej skruchy. Korki, deszcz, układ gwiazd. Wiesz, jak to jest, Kate. Fakt, wiem. Cmokam i wzdycham z udawanym współczuciem, podczas gdy moja niańka parzy sobie kawę i przegląda

od niechcenia moją gazetę. Wytykając jej teraz, że w ciągu tych dwudziestu sześciu miesięcy, odkąd jest opiekunką naszych dzieci, udawało jej się z powodzeniem spóźnić co czwarty poranek, ryzykowałabym sprzeczkę, a sprzeczka zanieczyściłaby powietrze, którym oddychają moje dzieci. A więc nie, nie będzie sprzeczki. Nie dzisiaj. Trzy minuty do odjazdu autobusu, osiem minut do przejścia.

8.27. Spóźnię się do roboty. Bezczelnie, arogancko spóźnię się. Pasjezdni zarezerwowany dla autobusów zapchany autobusami. Rezygnuję z autobusu. Gnam sprintem wzdłuż City Road, potem na przełaj przez Finsbury Square. Obcasy grzęzną w zakazanej trawie, za sobą słyszę zwyczajowe „Hej!”. To woła starszy facet, którego praca polega na pohukiwaniu na przebiegających przez trawnik.

– Hej, panienko! A naokoło, jak wszyscy, to nie łaska?

To trochę krępujące być obsztorcowywaną przy ludziach, ale gdzieś tam w głębi duszy przyjemnie mi, że ktoś zwraca się do mnie w miejscu publicznym per panienko. Kiedy ma się trzydzieści pięć lat i dwójkę dzieci w dorobku, każdy komplement cieszy. Poza tym dzięki temu skrótowi zyskuję dwie i pół minuty.

8.47. Edwin Morgan Forster, jedna z najstarszych i najszacowniejszych instytucji w City, ma swoją siedzibę u zbiegu Broadgate i St Anthony's Lane; ta dziewiętnastowieczna forteca z wielkim sterującym dziobem z dwudziestowiecznego szkła przywodzi na myśl transatlantyk, który wbił się w dom towarowy i przeszedł przez niego na przestrzał. Przed głównym wejściem zwalniał do truchtu i przeprowadzam pobieżną samokontrolę osobistą.

Czy buty do pary? Sprawdzić.

Czy zakiet nie zahaftowany przez dziecko? Sprawdzić.

Czy kraj spódnicy nie upchnięty w reformy? Sprawdzić.

Czy biustonosz nie wystaje? Sprawdzić.

W porządku, wchodzę. Szybkim krokiem przecinam marmurowe atrium i migam przepustką przed nosem ochroniarzowi imieniem Gerald. Po zakończonej przed osiemnastoma miesiącami modernizacji hol główny Edwin Morgan Forster, który wcześniej wyglądał jak bank, przypomina teraz wybieg dla pingwinów w rosyjskim zoo. Wszystkie powierzchnie porażają wzrok arktyczną bielą i tylko jedna ściana w głębi pomalowana jest na kolor turkusowy, taki sam, jaki przed trzydziestu laty miało mydło marki Yardley, ulubione mydło mojej stryjecznej babki Phyllis, ale przez projektanta holu nazwany „oceanicznym kolorem dalekosiężnej wizji i futuryzmu”. Za tę perełkę wśród złotych myśli firma powołana do pomnażania powierzonych jej przez klientów pieniędzy, wybuliła lekką rączką siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów bez pokwitowania.

Uwierzycie, w taki budynek? Siedemnaście pięter, a tylko cztery windy. Jeśli wziąć pod uwagę, że pracuje tu czterysta trzydzieści osób, uwzględnić sześciu spóźnialskich wciskających nerwowo ten sam guzik, dodać dwóch wrednych nieużytków, którzy nie przytrzymają drzwi i Rosę Klebb pchającą się do kabiny z wózkiem pełnym kanapek, to ma się do wyboru albo ze cztery minuty czekania, albo bieg po schodach. Wybieram schody.

Docieram na trzynaste piętro czerwona jak burak i wpadam na Robina Cooper-Clarka, naszego odzianego w jodelkę dyrektora inwestycji. Dochodzi do czołowego zderzenia gryzących się zapachów. Mojej eau de sweat i jego floris elite z ulotną nutką winchestera.

Robin jest mężczyzną wyjątkowo wysokim, ale ma ten dar, że potrafi spoglądać na człowieka z góry, wcale tak na niego nie spoglądając, nie wywołując u rozmówcy poczucia niższości. Absolutnie mnie nie zaskoczyło, kiedy z przeczytanego w zeszłym roku nekrologu dowiedziałam się, że jego ojciec był biskupem odznaczonym Wojskowym Krzyżem Zasługi. Robin ma w sobie coś świętego i nieniszczalnego: zdarzały mi się w EMF takie momenty, kiedy poległa-

bym chyba z kretesem, gdyby nie jego życzliwość i trochę ironiczny szacunek.

– Piękne kolorki, Kate, przyjechałaś na łyżwach? – Kąciaki ust Robina drgają, jakby zaraz miał się uśmiechnąć, ale krzaczasta siwa brew wędruje znacząco w górę, wskazując na zegar nad biurkiem.

Zaryzykować kłamstwo, że jestem tu już od siódmej i wyskoczyłam tylko na cappuccino? Rzut oka na biuro. Mój asystent Guy stoi przy chłodziarce i uśmiecha się złośliwie. Cholera. Musiał przechwycić moje spojrzenie, bo woła grzmiącym głosem nad przekrzywionymi głowami dealerów przyciskających barkami słuchawki do ucha, nad sekretarkami, nad zespołem działu europejskiego oraz zespołem działu rynku globalnego, wyróżniającym się identycznymi purpurowymi koszulami od Lewina:

– Położyłem ci na biurku dokumenty od Bengta Bergmana, Katharine. Przykro widzieć, że znowu masz kłopoty.

Zwróćcie uwagę na użycie słowa „znowu” – kropelka trucizny na czubku sztyletu. Nędzna gnida. Kiedy przed trzema laty posyłał mi Guya Chase’a na studia do Europejskiej Szkoły Biznesu, był niedomytym, zahukany absolwenciną w tandetnym garniturku. Wrócił w smolistoczarnej garniturze od Armaniego i z miną posiadacza dyplomu Magistra Bezgranicznej Ambicji, który pozjadał wszystkie rozumy. Śmiem twierdzić, że Guy jest jedynym mężczyzną w Edwin Morgan Foster, którego raduje to, że mam dzieci. Wietrzna ospa, letnie wakacje, koncerty kolęd – to wszystko dla Guya okazje do zabłyśnięcia pod moją nieobecność. Robin Cooper-Clark patrzy na mnie wyczekująco. Myśl, Kate, myśl.

Spóźnienie może ująć w City płazem. Najważniejsze to znaleźć stosowny wykręt, coś, co moja przyjaciółka i prawniczka Debra nazywa Męskim Usprawiedliwieniem. Starsi menedżerowie, u których tłumaczenie się wymiotującym przez całą noc dzieckiem albo niepunktualnością niańki wywołałoby szczere oburzenie, bez mrugnienia okiem wierzą we wszystko, co ma jakikolwiek związek z silnikiem spalinowym.

Samochód mi się popsuł/utknęłam w korku.

Szkoda, że nie widziałeś, co się działo – tu wstawić opis dantejskiej sceny – na – tu wstawić nazwę ulicy.

To działo. Ostatnio do repertuaru męskich usprawiedliwień doszły alarmy samochodowe, bo chociaż objawy ich usterek noszą cechy wybitnie żeńskie – nieobliczalność i przeraźliwe piszczenie – to niezbędną może być wizyta w warsztacie.

– Szkoda, że nie widziałeś, co się działo na Dalston Junction – mówię Robinowi, przywołując na twarz minę zrezygnowanego mieszcucha i rozkładając ręce, co ma symbolizować ogrom samochodowego kataklizmu. – Jakiś wariat w białej furgonetce. Światła nie działają. Coś okropnego. Tkwiłam tam ze dwadzieścia minut.

Robin kiwa głową.

– W tym Londynie nie sposób już jeździć.

Na moment zalega milczenie. Mam już na końcu języka pytanie o zdrowie Jill Cooper-Clark, u której w lecie wykryto raka piersi, ale Robin zalicza się do tych Anglików, którzy przyszli na świat wyposażeni w system wczesnego ostrzegania, umożliwiający im przewidywanie i tłumienie w zarodku wszelkich pytań natury osobistej. Tak więc, kiedy moje wargi formują dopiero imię jego żony, on mówi:

– Zjemy razem lunch, Kate. Powiem Christine, żeby zarezerwowała dla nas stolik. Przy Old Bailey otworzyli niedawno nową salkę w zaadaptowanej piwnicy – założę się, że serwują tam lekko podpieczonego świadka. Dobrze, co?

– Tak, chciałam tylko...

– Wspaniale. Porozmawiamy później.

Zawijając do spokojnej przystani mojego biurka, jestem już spokojna. Rzecz w tym, że kocham swoją pracę. Może nie zawsze daje się to zauważyć, ale ja naprawdę ją kocham. Uwielbiam to uderzenie krwi do skroni, kiedy akcje, na które postawiłam, zwyczajują. Czuję się do-

wartościowana, będąc jedną z nielicznych kobiet w Club Lounge, czyli poczekalni dla VIP-ów na lotnisku, a po powrocie uwielbiam dzielić się ze znajomymi wrażeniami z podróży. Uwielbiam wielogwiazdkowe hotele ze sprawną obsługą, która zjawia się na każde zawołanie jak dżin na zaklęcie, i te prerie białej bawełny, na których mogę się do woli wysypiać. (Kiedy byłam młodsza, lubiłam dzielić łóżko z kimś; teraz mam dwoje dzieci i wolę iść do niego sama, najlepiej na dwadzieścia cztery godziny). Ale najbardziej kocham samą pracę: satysfakcję, że jestem dobra w tym, co robię, że utrzymuję wszystko pod kontrolą, podczas gdy reszta mojego życia to jeden wielki galimatias. Uwielbiam to, że liczby robią, co im każę, i nigdy o nic nie pytają.

9.03. Włączam komputer i czekam, aż zaloguje się w sieci. Sieć chodzi dzisiaj tak wolno, że lepiej byłoby chyba polecieć do Hongkongu i dopaść tego cholernego Hang Senga osobiście. Wstukuję swoje hasło – Ben Pampers – i wchodzę od razu w Bloomberg, żeby sprawdzić, co działa się na rynkach przez noc. Nikkei utrzymuje się na stałym poziomie, brazylijski Bovespa jak zwykle tańczy szaloną sambę, natomiast Dow Jones przypomina wykres pacjenta reanimowanego na oddziale intensywnej terapii. Kurczę, ależ zimno na dworze. Mgła omywająca biurowce za moim oknem potęguje jeszcze to wrażenie.

Sprawdzam teraz, czy kursy walut nie wycinały aby jakichś dzikich hołbców, następnie wstukuję TOP, by wywołać na ekran aktualności z życia wielkich firm. Główne doniesienie dotyczy Gayle Fender, dealerki, a ściślej byłej dealerki obligacji. Podała do sądu swoją firmę, Lawrence Herbert, za dyskryminację płci przejawiającą się tym, że koledzy mężczyźni dostają o wiele wyższe od niej premie za gorsze wyniki w pracy. Wiem, że protest Gayle Fender skończy się tak, jak kończą się zawsze tego rodzaju protesty: ze spuszczonym wzrokiem i formułką „bez komentarza” na ustach, bocznymi drzwiami opuści salę sądową. City potrafi pacyfikować takich buntowników. Do kneblowania im ust służą najczęściej 50-funtowe banknoty.

Klikam na e-maile. Od mojego ostatniego pobytu w biurze przyszło ich czterdzieści dziewięć. Przeprowadzam wstępną selekcję, odsiewając plewy.

Darmowy egzemplarz okazowy nowego czasopisma dla inwestorów? Śmieć.

Zaproszenie nad Jezioro Genewskie na konferencję na temat globalizacji. Podniebieniom uczestników dogadzać będzie światowej sławy szef kuchni Jean-Louis... Śmieć.

Dział personalny chce wiedzieć, czy wystąpię w nowym wideospocie firmowym EMF. Prędszej mi kaktus na dłoni wyrośnie.

Na samym wierzchu skrzynki pocztowej znajduję e-mail od Celii Harmsworth, kierowniczkii działu personalnego. Okazuje się, że mój szef Rod Task nie będzie mógł poprowadzić w przerwie na lunch pogadanki wstępnej dla stażystów EMF. Czy nie zechciałabym go zastąpić? „Zapraszamy gorąco do sali konferencyjnej na trzynastym piętrze o godzinie 13.00!”.

Nie, nie i jeszcze raz nie. Mam do napisania dziesięć raportów, które muszą być gotowe na piątek. A poza tym dziś o 14.30 odbywa się bardzo ważna bożonarodzeniowa uroczystość, na której nie może mnie zabraknąć.

Przejrzawszy pocztę służbową, mogę wreszcie przejść do właściwych e-maili, tych z prawdziwego zdarzenia – do korespondencji od znajomych, do krążących po świecie żarcików i plotek. Jeśli uznać za prawdziwą opinię, że moje pokolenie cierpi na chroniczny głód czasu, to poczta elektroniczna jest dla nas ekwiwalentem podgryzanej ukradkiem kanapki, żelaznej racji pozwalającej utrzymać się człowiekowi przy życiu. Nie sposób wyjaśnić, jak bardzo wspiera mnie psychicznie kontakt z regularnymi korespondentami. Należy do nich Debra, moja najlepsza przyjaciółka z college’u, teraz już matka dwojga dzieci i prawniczka zatrudniona w kancelarii Addison Pope, mieszczącej się dokładnie naprzeciwko Bank of England, jakieś dziesięć minut drogi piechotą od Edwin Morgan Forster. Nigdy tam u niej nie byłam. Równie dobrze

mogłaby pracować na Plutonie. Jest też Candy. Moja bratnia dusza i podobnie jak ja doradca inwestycyjny, dziewczyna o niewyparzanej gębie, czarodziejka World Wide Web i dumny artykuł eksportowy miasteczka Rockaway w stanie New Jersey, Candace Marlene Stratton.

Candy siedzi tam, pod filarem, siedem kroków ode mnie, ale rzadko zamieniamy ze sobą więcej niż siedem słów dziennie. Za to za pośrednictwem ekranu wiemy o sobie wszystko jak staroświeckie kumoszki.

Od: Candy Stratton, EMF

Do: Kate Reddy, EMF

Kate,

P: Dlaczego mężatki są cięższe od panien?

O: Panna wraca do domu, patrzy, co ma w lodówce, i idzie do łóżka. Mężatka wraca do domu, patrzy, co ma w łóżku, i idzie do lodówki.

Co u ciebie? U mnie: Zapalenie pęcherza. Za dużo SXu
xxxx

Od: Debra Richardson, Addison Pope

Do: Kate Reddy, EMF

Dzieńdoberek,

Jak było w Szwecji i Nowym Jorku? Żal mi ciebie. Feliks spadł ze stołu i złamał sobie rączkę w 4 miejscach (kto by pomyślał, że są w niej 4 łamliwe miejsca). Koszmar. Sześć godzin przesiedziałam na pogotowiu. Stara dobra państwową służba zdrowia! Ruby ogłosiła wczoraj, że kocha swoją niańkę, swojego tatusia, swojego króliczka, swojego braciszka, wszystkie Teletubisie i swoją mamusię, w powyższej kolejności. Miło wiedzieć, że warto się starać, nie?

Pamiętasz o LUNCHU w piątek? Tylko mi nie mów, że nie możesz.

Deb xxxx